SPOTKAJMY SIĘ *we Wrocławiu*

Let's meet in Wrocław

Treffen wir uns in Wrocław

ISSN 1644-1524
NR /2016 (33)

Maestro Stanisław Skrowaczewski był znów we Wrocławiu, 2016

Lidia i Stefan Arczyńscy są razem od 58 lat

Rektor UWr prof. Adam Jezierski składa życzenia jubilatowi

Prof. Władysław Floryan – edytor wydania *Dzieł wszystkich* Juliusza Słowackiego

Wystawa 100 x 100 – Ocean Atlantycki, S. Arczyński, 1972

Prof. Kazimierz Urbanik – wytyczał nowe kierunki w matematyce

Karl Dedecius – literacki budowniczy mostów

Uniwersytet Wrocławski, litografia, XIX w.

Dyrektor Muzeum Miejskiego we Wrocławiu – dr Maciej Łagiewski otworzył wystawę *100 x 100* z okazji jubileuszu 100-lecia urodzin Stefana Arczyńskiego

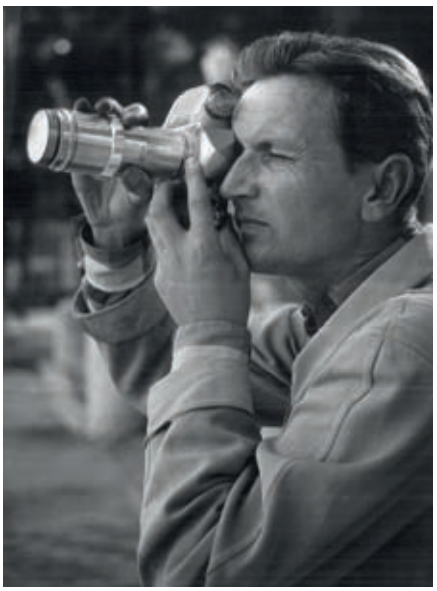

Stefan Arczyński, lata 60.

100 FOTOGRAFII ze 100 LAT ŻYCIA

Sam tytuł wystawy *100 x 100* już określa niebywały format człowieka, jakim jest Stefan Arczyński. Za nim przemawia nie tylko jego dzieło życia, wiek, ale też wyjątkowa osobowość!

Piękny wiek, piękne zdjęcia, należałoby dodać – piękny człowiek! Wszyscy znamy Go jako człowieka niesłychanie dobrego, radosnego, przyjaznego, życzliwego, jednocześnie pracowitego, rzetelnego, sumiennego, a także kochającego, wiernego, oddanego i opiekuńczego. Jak ktoś jest taki pogodny, to nawet fotografie przedstawiające ludzi starych i biednych są pogodne. Ktoś nie tak dawno zapytał mnie o jedno stulecie w 1000-letnich dziejach Wrocławia, dlaczego jest tak ubogie w zdarzenia? Teraz zestawcie je ze stuletnim życiem Stefana Arczyńskiego, jakie ono było bogate!

Arczyński wypracował własny magiczny styl, którym posługiwał się przed 50 laty, a i teraz jest aktualny! Jego zdjęcia to nie tylko dokument, ale przede wszystkim dzieło sztuki! Czarująca kompozycja, którą dane mi było dostrzec, z nowoczesną estetyką, nieustannie aktualną. Arczyński to bystry, wrażliwy, wnikliwy obserwator otaczającego życia. Dostrzegał to, czego większość z nas nie widziała, i jeszcze dodatkowo utrwalał! Może tylko osoba o tak szczególnej wrażliwości potrafi tworzyć rzeczy piękne? Całe życie podporządkował fotografii, nie było wiadomo, kiedy pracował, a kiedy podróżował dla wypoczynku. Zawsze czekał na światło lub chmurę. Pamiętam, kiedy chcąc fotografować jakąś architekturę, przychodził w nocy, lub dla zdjęcia płaskiego epitafijnego reliefu czekał długo na śnieg i mróz. I te jego drzewa, które fotografował od Wrocławia po Kalifornię i Hawaje!

Przed pięciu laty mówiłem na jego okrągłym święcie – 95-leciu urodzin, kiedy był jeszcze czynnym zawodowo – że myśli już o wystawie na swoje 100 urodziny w ramach Europejskiej Stolicy Kultury. To nie cud natury, ale wybraniec losu.

Ktoś kiedyś mądrze powiedział, że najważniejszym czynnikiem – oddalającym proces starzenia się – jest motywacja, wynikająca często z pewnej misji życiowej, pasji, pracowitości oraz ugruntowanej pozycji rodzinnej lub społecznej. Trzeba być potrzebnym!

Wystawa przygotowana przez Muzeum Miejskie Wrocławia w setną rocznicę urodzin Artysty jest hołdem dla Niego samego oraz wyrazem uznania dla imponującego, niemającego odpowiednika w historii fotografii polskiej dorobku artystycznego.

Stefan Arczyński, artysta fotografik, dziś legendarna osobistość Wrocławia, urodził się 31 lipca 1916 roku w polskiej rodzinie, osiadłej w Essen. Po wczesnej śmierci matki, wychowaniem Stefana, jego brata Tadeusza i siostry Heleny zajął się ojciec – Wiktor Arczyński, pochodzący z Wielkopolski, aktywny działacz Związku Polaków w Niemczech.

S. Arczyński, cykl *Drzewa*

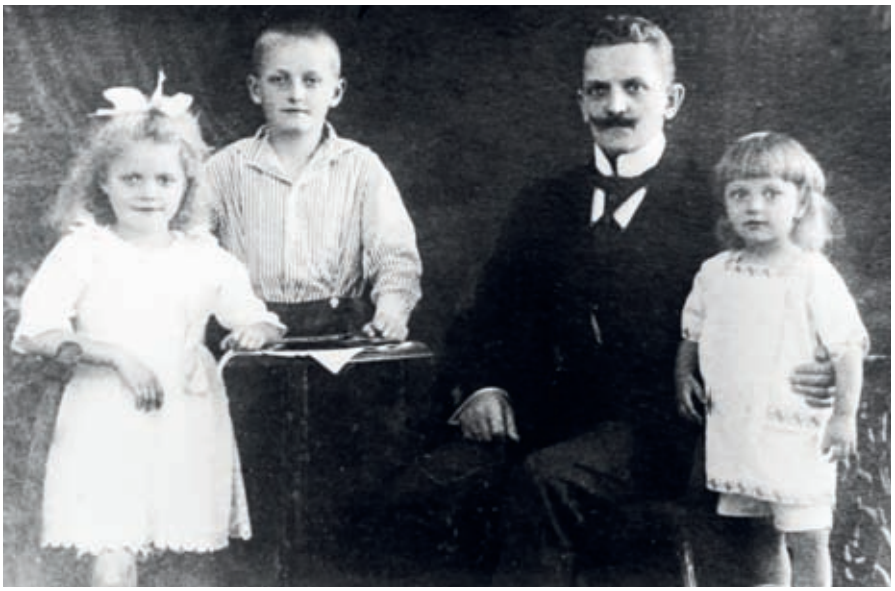

Wiktor Arczyński z dziećmi: Heleną, Stefanem i Tadeuszem, Essen 1919, fot. arch. rodzinne

Spotkanie braci po 30 latach – Stefan i Tadeusz Arczyńscy, fot. arch. rodzinne

Braci rozdzieliła wojna. Tadeusz studiował w Polsce, miał już obywatelstwo polskie, walczył w Kampanii Wrześniowej 1939, od 1941 znalazł się w Armii Generała Władysława Andersa.

W czasie II wojny światowej Wiktor Arczyński został skazany na śmierć za działalność polonijną. Stefan został wcielony do armii niemieckiej i skierowany do Francji, a później na front wschodni. Ranny pod Stalingradem, trafił do lazaretu, a następnie do rosyjskiej niewoli. Jako członek Związku Polaków w Niemczech został zwolniony w 1946 roku i wysłany do Polski. W 1948 roku otworzył swoje pierwsze atelier fotograficzne w Kamiennej Górze. Dwa lata później przeniósł się do Wrocławia, wstępując jednocześnie do Polskiego Związku Artystów Fotografików. Z aparatem fotograficznym Stefan Arczyński przemierzył całą Polskę, ale szczególnie bliski był mu Śląsk z Wrocławiem.

Ważnym fragmentem działalności Stefana Arczyńskiego było dokumentowanie odbudowy miasta ze zniszczeń wojennych. Uwieczniał na fotografiach także wrocławian – byli wśród nich nie tylko zwykli mieszkańcy miasta, ale też wielcy artyści…

Wielką pasją Stefana Arczyńskiego były podróże. Zwiedził niemal wszystkie kontynenty, a z każdej wyprawy przywoził setki fotografii, na których utrwalał przyrodę i życie codzienne ludzi. Z upływem lat zmieniały się techniki fotograficzne, jednak On pozostał wierny klasycznej fotografii czarno-białej, trudnej w uzyskaniu artystycznych efektów, wymagającej perfekcyjnego opanowania warsztatu, który w swoich pracach doprowadził do rzadko spotykanej wirtuozerii. Jego kunszt artystyczny w zakresie pejzażu i portretu nie ma sobie równych. Za swoje osiągnięcia artystyczne otrzymał wiele dyplomów i medali. Jako jedyny w historii został dwukrotnie uhonorowany Nagrodą Miasta Wrocławia (1959 i 2000), wiele razy był nominowany do tytułu honorowego obywatela naszego miasta. Jest również laureatem prestiżowej Śląskiej Nagrody Kulturalnej (1992). Z rąk Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego odebrał dwukrotnie Medal Zasłużony Kulturze *Gloria Artis*, Srebrny w 2006 i Złoty w 2011 roku.

Dzięki żonie Lidii, wiernej towarzyszce życia, należy Stefan Arczyński do ludzi spełnionych, uważanych za wybrańców losu. Pozostał pogodnym i zarazem bardzo skromnym człowiekiem.

Maciej Łagiewski

Wrocław z lat 50. XX wieku. Odbudowany pl. KDM i Arkady

Lidia i Stefan Arczyńscy w Parku Narodowym Yellowstone, USA 2005

Stefan Arczyński prezentował swoje seryjne kolekcje z wypraw po świecie.

Ukraina 1941, fot. S. Arczyński

100 Fotografien aus 100 Lebensjahren

Schon der Titel der Ausstellung *100 x 100* weist auf einen außergewöhnlich begabten Menschen hin, den Kunstfotografen Stefan Arczyński. Herausragend sind nicht nur sein Lebenswerk, sondern auch sein Alter und seine Persönlichkeit.

Ein begnadetes Alter, herrliche Fotografien, ein liebenswerter Künstler! Wir alle kennen ihn als einen guten, freudigen, freundlichen, wohlwollenden, arbeitsamen, zuverlässigen, gewissenhaften als auch einen liebevollen, treuen und fürsorglichen Menschen. Seine Fotografien sprechen uns an, auch wenn sie arme und alte Menschen zeigen. Der eigene, von Stefan Arczyński erarbeitete Stil des Fotografierens bezaubert uns und ist auch heute noch aktuell. Seine Bilder sind nicht nur Dokumente, sie sind vor allem Kunstwerke. Herrliche Kompositionen verbunden mit einer modernen Ästhetik.

Stefan Arczyński ist ein scharfsinniger, sensibler, tiefgründiger Beobachter des ihn umgebenden Lebens. Er hat oft bemerkt und festgehalten, was die meisten von uns übersehen haben. Vielleicht kann nur er mit seiner Empfindsamkeit so wundervolle Bilder schaffen. Er hat sein ganzes Leben der Fotokunst gewidmet. Man wusste nie, wann er arbeitete oder ob er eine Reise zur Erholung unternahm. Er wartete auf das geeignete Licht oder auf herrliche Wolken. Er fotografierte Architektur in der Nacht oder ein Epitaph mit Schnee bedeckt. Er hat herrliche Bäume im Bild festgehalten, die von Wrocław/Breslau, von Kalifornien und Hawaii.

Vor fünf Jahren, anlässlich seines 95. Geburtstages, als er noch arbeitete, sagte ich zu ihm, dass er bestimmt schon an seinen 100. Geburtstag dächte, den er wohl im Rahmen der Feier von Wrocław zur Europäischen Kulturhauptstadt miterleben wolle. Nun erlebt er die Stadt in ihrem Glanze! Er ist ein Glückskind!

Er hat den Alterungsprozess durch seine Lebensaufgabe, der Motivation zum Fotografieren und seiner Einbindung in ein geordnetes Familienleben verlangsamt.

Die Ausstellung, die durch das Städtische Museum Wrocław /Breslau zu dem 100. Geburtstag des Künstlers vorbereitet wurde, ist eine Ehrung für ihn und der Ausdruck der Anerkennung seines

Ukraina 1941, fot. S. Arczyński

Afryka, fot. S. Arczyński

Ameryka, fot. S. Arczyński

Azja, fot. S. Arczyński

Ukraina 1941, fot. S. Arczyński

Wystawa fotografii, Ratusz wrocławski, 2001

beeindruckenden künstlerischen Schaffens, das in der Geschichte der polnischen Fotokunst ohne Entsprechung ist.

Stefan Arczyński, als Kunstfotograf heute schon eine legendäre Persönlichkeit in Wrocław/Breslau, wurde am 31. Juli 1916 in einer polnischen, in Essen/Ruhr ansässigen Familie geboren. Nach dem frühen Tod der Mutter hat er sich an der Erziehung der Geschwister Tadeusz und Helena zusammen mit seinem Vater Wiktor Arczyński beteiligt. Der Vater stammte aus Großpolen und war aktiver Funktionär des Vereins der Polen in Deutschland.

Die zwei Brüder wurden durch den Ersten Weltkrieg getrennt. Tadeusz studierte in Polen und hatte die polnische Staatszugehörigkeit. Er war beim Ausbruch des Zweiten Weltkriegs polnischer Soldat und kam 1941 in die alliierte polnische Armee des Generals Anders. Der Vater Wiktor Arczyński wurde im Zweiten Weltkrieg wegen polnischer Aktivitäten zum Tode verurteilt.

Stefan Arczyński dagegen wurde 1940 zur deutschen Wehrmacht einberufen, kam zuerst nach Frankreich und dann an die Ostfront. 1942/1943 wurde er in Stalingrad verwundet. Er kam in ein Lazarett und geriet dort in russischeKriegsgefangenschaft.

Cykl *Drzewa*, fot. S. Arczyński

Als Mitglied des Vereins der Polen in Deutschland wurde er 1946 aus der Gefangenschaft entlassen und nach Polen zurückgeschickt. 1948 errichtete er sein erstes Fotoatelier in Landeshut (Kamienna Góra). 1950 zog er nach Wrocław/Breslau und trat dort in den polnischen Verein der Kunstfotografen ein.

Mit seinem Fotoapparat hat er ganz Polen durchquert. Aber besonders nahe war er Schlesien und seiner Stadt Wrocław/Breslau. Ein wichtiger Teil seiner Tätigkeiten war das Fotografieren des Wiederaufbaus der im Zweiten Weltkrieg zerstörten Stadt. Er wurde Zeitzeuge. Er hat die Bewohner der Stadt, Normalbürger, Künstler und wichtige Persönlichkeiten im Bild festgehalten.

Stefan Arczyńskis große Leidenschaft war das Reisen. Er besuchte beinahe alle Kontinente. Von jeder Reise brachte er Hunderte von Fotos mit, auf denen er die Landschaft und die Menschen porträtierte.

Im Laufe der Jahre hat sich seine Fototechnik verändert, jedoch blieb er der klassischen Schwarz-weiß-Fotografie treu. Diese Technik erfordert ein großes Können, um die Arbeiten so perfekt und virtuos zu gestalten. Besonders seine Landschafts-und Porträts-Aufnahmen sind herausragend. Für sein künstlerisches Schaffen erhielt er viele Diplome und Medaillen. Als Einziger wurde er mit dem Preis der Stadt Wrocław/Breslau zweimal geehrt, nämlich 1959 und 2000. Mehrere Male wurde er für den Titel „Ehrenbürger der Stadt“ nominiert. Er ist Preisträger des renommierten deutschen Kulturpreises Schlesien des Landes Niedersachsen, der ihm 1992 in Hannover überreicht wurde.

Vom Minister für Kultur und Nationales Erbe erhielt er zweimal eine Gloria-Artis-Medaille für kulturelle Verdienste, die silberne im Jahr 2006, die goldene im Jahr 2011. Mit Unterstützung seiner Ehefrau Lidia, der treuen Lebensgefährtin, konnte Stefan Arczyński sich in seiner Arbeit selbst verwirklichen, ein wirkliches Glück. Er ist aber immer ein heiterer und sehr bescheidener Mensch geblieben.

Maciej Łagiewski

Noel Clark (1925–2004)

Pomnik Aleksandra hr. Fredry został wykonany na zamówienie mieszkańców Lwowa w XIX wieku. W połowie XX wieku hrabia Fredro zamieszkał we Wrocławiu

Papkin mówił po angielsku

Na wrocławskim rynku od 1956 roku stoi pomnik Aleksandra hrabiego Fredry, ojca polskiej komedii. Znany rzeźbiarz Leonard Marconi wykonał ten posąg na zlecenie Lwowskiego Koła Literacko-Artystycznego w 1879 roku. Wspaniały zabytek przywędrował ze Lwowa nad Odrę po wojnie. Postać literata, odlana z brązu, króluje na cokole przed Starym Ratuszem, w ręku trzyma gęsie pióro, które czasem zmienia właściciela. Jedno z piór pożyczył sobie dziennikarz z Londynu, który nauczył się języka polskiego podczas wojny, bowiem służył w piechocie razem z Polakami. Nazywał się Noel Clark.

Noel był urodzonym poliglotą w kraju, który jest kolebką nowożytnej „łaciny", ale w jego wielojęzyczności tkwiła potrzeba wiedzy o kulturze i historii innych narodów. Znał francuski, holenderski, niemiecki i polski. W latach II wojny światowej Noel Clark pełnił rolę oficera łącznikowego między marszałkiem Montgomerym i generałem Andersem podczas walk z Niemcami w Afryce, ale oprócz obowiązków żołnierza zapamiętale realizował swoje hobby, tłumacząc na angielski *Grażynę* Adama Mickiewicza.

Po wojnie wydano w Londynie trzy komedie Fredry i były przedstawiane na antenie radia BBC: *Revenge* (*Zemsta), Virgins'Vows (Śluby panieńskie) i The Annuity (Dożywocie).* Noel często odwiedzał Wrocław i spacerując po Rynku, pod pomnikiem Fredry, recytował po angielsku teksty Papkina:

A crrrocodile! Not hard to find!
What an idea, for Heaven's sake!
If girls have crocodiles in mind,
Their appetite for thrills to slake,
Then – by some modish trend invidious
The beautiful's become the hideous!
There was a time when maids contrary
Lovers might with sighs entreat:
„What I'd like is a canary!"
Now, they you bluntly, „Sweet,
Unless you are prepared to lose me,
Catch a crocodile to amuse me!"

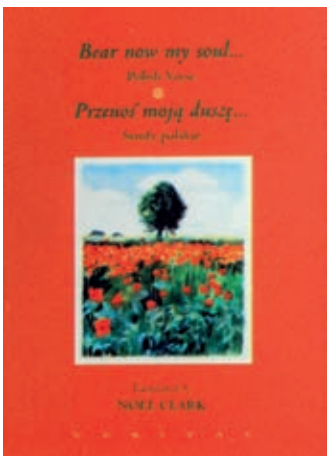

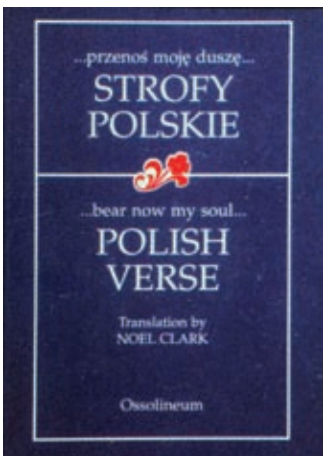

Najbardziej zadziwiający jest przekład *Wesela* Wyspiańskiego (wyd. w Londynie w 1998 r.), o którym w przedmowie napisał profesor Jerzy Pietrkiewicz: *Szczęśliwym doświadczeniem było dla mnie towarzyszenie w jakże mozolnym trudzie Noela Clarka; byłem świadkiem mistrzostwa jego wyobraźni i cierpliwości, z jaką rozwiązywał trudne stylistycznie problemy, z którymi musiał się borykać tłumacz tej szczególnej sztuki, której główną cechą jest poetyckie użycie gwary i nieuchwytne odniesienia historyczne. Tym bardziej podziwiam jego dokonanie*.

W 1993 roku Noel Clark został odznaczony medalem *Zasłużony dla Kultury Polskiej* i otrzymał nagrodę Pen Clubu za przekłady komedii Fredry.

W tomie *Polish verse* czytamy *Inwokację* do *Pana Tadeusza:*

Lithuania, my homeland, thou art like health
He only who has lost thee can judge his former wealth.
Today I see thy beauty in its sublimity;
And, seeing, I depict it, because I yearn for thee!
Holy Virgin who dost watch on Częstochowa bright,
Shining on Ostra Brama, while keeping in thy sight
Nowogrodek's castled rock and all its faithful breed
As didst thoue, a child, miraculously lead
To health when once my mother, in tears, thy aid implored
My dying eyes I opened and, for my life restored,
On foot approached unaided the threshold of thy shrine
To offer up my thanks to Providence divine
So lead us, by a miracle, back to the Motherland!

Przypomnieć wypada jeszcze, że w 1988 roku Clark napisał scenariusz do wystawy *The Eagle and the Lion*, obrazującej kontakty polsko-angielskie w ciągu 10. stuleci, a otwarcia ekspozycji dokonała w Warszawie Królowa Elżbieta II. Ta wystawa została też zaprezentowana w Ratuszu wrocławskim w 1988 roku.

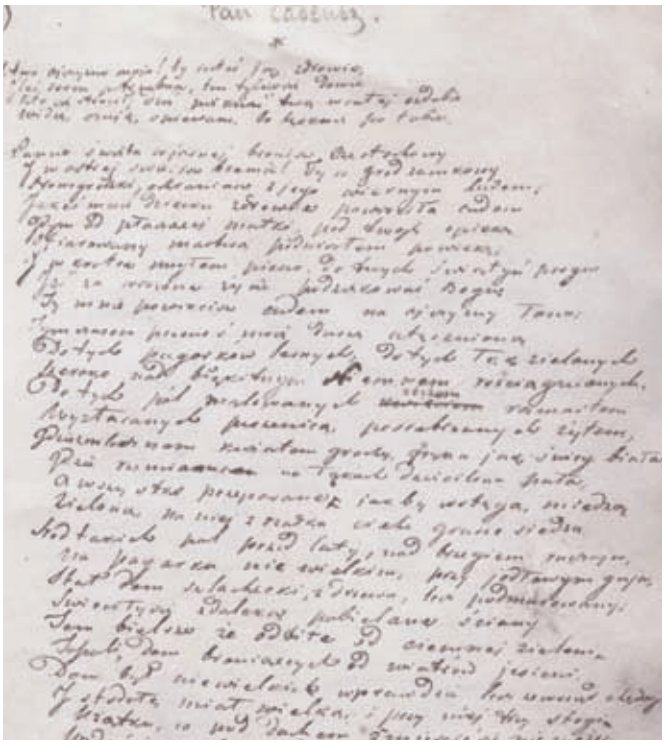

Karta rękopisu z tekstem *Inwokacji*

Katalog wystawy *Polonica w archiwach brytyjskich 1419–1945*. Przedstawia spotkanie Churchilla i Sikorskiego w sierpniu 1940 roku. W 1988 roku wystawa była prezentowana w Zamku Królewskim w Warszawie, w Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie i w Muzeum Historycznym we Wrocławiu

Ozdobna kaseta, w której przechowywany jest rękopis *Pana Tadeusza*

Noel Clark często odwiedzał Wrocław i uczestniczył w licznych spotkaniach autorskich

Noel Clark (1925–2004)
A Romantic Polonophile

Born in 1925, he studied French and German at the Queen's College, Oxford. For many years he had been a foreign correspondent for the BBC in various parts of the world including Africa, Arabian Countries, South America, and in 1971–1976 in East and Central Europe. In 1985 he came back to London. For several years he had been a director of the Central Europe Service of BBC. When retired he employed his free time in translating Polish, French, German and Dutch literature.

His contacts with Poles date back to 1938–1939. During the II World War he had many friends among Polish refugees living in Great Britain. At the Mongomery's Campaign in North Africa Clark was a liaison officer between the British and Polish Armies. At that time he learnt Polish and began to translate our poems.

Noel was a polyglot in his country that is a cradle of modern "Latin". His compatriots were not inclined to study foreign languages, because all the world speaks English.

Noel's knowledge of other languages was a way to study and understand the culture and history of different countries. He was fascinated by the tragic history and the specific beauty of Polish poetry. He had his individual choice in this matter. He was happy to find out a forgotten poem by Teofil Lenartowicz entitled *The Battle of Racławice.* He liked to compare many versions of the text written to commemorate the glorious fact in our military history. The bilingual edition of the *Battle* was published in Wrocław in 1994 on the 200-th Anniversary of the famous victory.

His love of the theatre stimulated his translations of three comedies of Aleksander Fredro: *The Revenge, Virgins' Vows and The Annuity. The Revenge* in it English attire was broadcasted in the World Service of BBC.

His last and wonderful work was a poetic translation of *The Wedding,* a drama by Stanisław Wyspiański. Its English edition in the "Absolute Classics" series, with a forward by Noel's friend and a poet himself Jerzy Pietrkiewicz, was published in London in 1998. The promotion of the book took place on 20-th of October the same year. Some young English actors had presented twelve scenes of the drama. After the performance they said: *Wyspiański was a lucky writer as he hasn't been translated until now, otherwise he might have been murdered like so many ill-translated dramas. Clark's work is perfect, the drama is fresh and genuine. The Phantoms are wonderful.* These simple words are a real homage to Wyspiański, to *The Wedding,* and to Noel Clark.

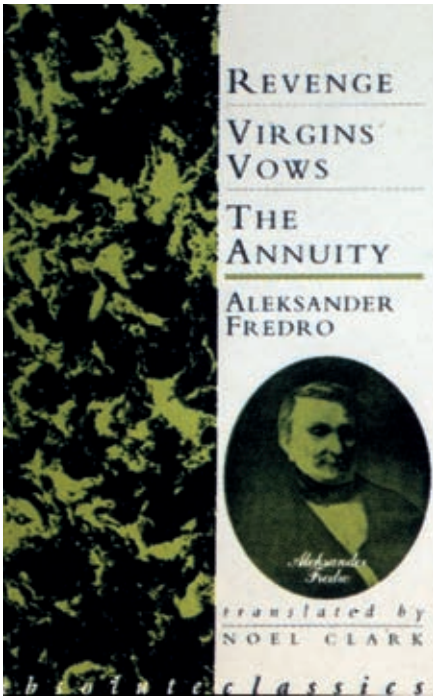

Tree plays Aleksander Fredro translated by Noel Clark

Among many presentations organized or inspired by Noel Clark we should remember a retrospective exhibition entitled *The Eagle and the Lion* dealing with the Polono-British relation throughout ten ages of our history. The exhibition was opened by Her Majesty the Queen Elisabeth II at the Royal Castle in Warsaw in March 1996.

In 1995 Noel Clark received the Polish Order of Cultural Merit, and a Polish Pen Club prize for his translations of Fredro's comedies.

Broadcasting House Portland Place London – awers

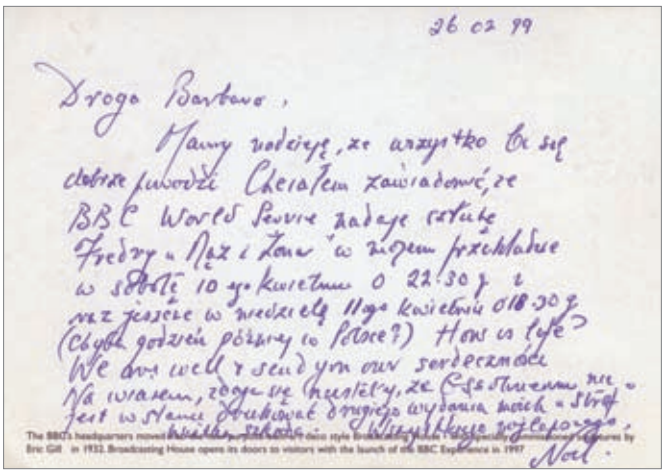
26 02 99

Droga Barbaro,

Mamy nadzieję, że wszystko co się
dobrze powiodło Chciałem zawiadomić, że
BBC World Service nadaje sztukę
Fredry „Mąż i żona" w moim przekładzie
w sobotę 10 go kwietnia o 22.30 g. i
raz jeszcze w niedzielę 11go kwietnia o 18.30 g.
(chyba godzin później w Polsce?) How is life?
We are well & send you our sincerest
Na własnem, zdaje się, przestały, że Czesławowi nie
jest w stanie [illegible] drugiego wydania moich „Strof
[illegible] Wszystkiego najlepszego.
Noel.

The BBC's headquarters moved [illegible] style [illegible] designed by Eric Gill in 1932. Broadcasting House opens its doors to visitors with the launch of the BBC Experience in 1997
I rewers – 26 lutego 1999, Droga Barbaro... Noel

1 kwietnia 2016, koncert *Biały kruk* we Wrocławiu – dyryguje Maestro Stanisław Skrowaczewski. Sławny w świecie kompozytor i dyrygent swój pierwszy kontrakt na dyrygenta orkiestry podpisał właśnie we Wrocławiu w 1946 roku. W rok później otrzymał szansę wyjazdu do Paryża na stypendium z ambasady francuskiej. Tam wstąpił do znanego wielu Polakom studia Nadii Boulanger. Fot. S. Przerwa

O muzyce we Wrocławiu

Stolica Dolnego Śląska żyje wydarzeniami, jakie dyktuje miastu program ESK Wrocław 2016. Ważne jest, że po raz pierwszy w historii Europejskiej Stolicy Kultury zaproszono do udziału w tym programie także Lwów, czyli miasto z kraju nienależącego do Unii Europejskiej. Dzięki tej bardzo pięknej inicjatywie, nawiązującej do tradycji powojennego Wrocławia, przez miesiąc Lwów współdzielił z Wrocławiem tytuł Europejskiej Stolicy Kultury.

Lwowski miesiąc rozpoczął się 1 kwietnia 2016 roku wspaniałym koncertem w sali KGHM niedawno otwartego we Wrocławiu Narodowego Forum Muzyki. Orkiestrą Wrocławskiej Filharmonii dyrygował lwowianin, artysta światowej sławy – Stanisław Skrowaczewski[1]. Maestro opuścił Lwów w 1945 roku, a swój pierwszy kontrakt z filharmonią podpisał we Wrocławiu w 1946 roku. Debiutował w tej roli, mając zaledwie lat trzynaście. Jako pianista i dyrygent wystąpił w *III Koncercie fortepianowym* Ludwiga van Beethovena we Lwowie.

Fot. Ł. Rajchert

– Nadia dała mi wiele rad, które wykorzystuję całe życie. Tłumaczyłem jej, że pochodzę z tradycji końca XIX wieku, gdzie Mahler zaczął powiększać obsady orkiestry. Na estradzie pojawiało się coraz więcej muzyków. To na mnie robiło wrażenie. Też chciałem mieć wielką orkiestrę. Nadia radziła, aby być oszczędnym w instrumentacji. Teraz już wiem, że miała rację, i zwracam uwagę na prostotę środków. Nadia miała fenomenalną pamięć. Czytała moją partyturę i umiała natychmiast wskazać, co jej się nie podoba i co koniecznie muszę zmienić.

Fragment wywiadu red. A. Skulskiej dla Polskiego Radia

[1] Artysta urodził się 3 października 1923 roku we Lwowie.

Jak Mistrz pracuje

Stanisław Skrowaczewski w oczach Andrzeja Kosendiaka

Stanisława Skrowaczewskiego poznałem osobiście, kiedy przyjechał do Wrocławia kolejny już raz, po sukcesach za granicą. Oczywiście, słyszałem o nim wiele, kim był i kim jest, to co o nim wiedzą wszyscy. Jego historia jest podobna do wielu losów innych ludzi, którzy pochodzą ze Lwowa, ale jest też bardzo szczególna. Po studiach w Krakowie w 1946 roku przyjechał do Wrocławia. Tu podpisał pierwszy kontrakt na dyrygenta i rozpoczął swoją pierwszą pracę jako etatowy dyrygent polskiej filharmonii. Wrocławska Filharmonia nie była wtedy jeszcze instytucją, ale grupą muzyków, którzy sami z siebie spontanicznie stworzyli zespół. Pochodzili z różnych stron świata, między innymi wielu przybyło z kresów wschodnich i już parę tygodni po zakończeniu wojny we Wrocławiu – 29 czerwca 1945 roku odbył się ich pierwszy koncert w mieście pełnym ruin. Wystąpili w wielkiej sali koncertowej, tylko trochę zniszczonej, ale mającej aż 1300 miejsc. I to grono muzyków, swoim pierwszym koncertem, ożywiło życie muzyczne w kompletnie zniszczonym mieście.

Stanisław Skrowaczewski świetnie pamięta, jak wtedy wyglądał powojenny Wrocław. Nie został tu na długo, bo po roku pracy we Wrocławskiej Filharmonii otrzymał niezwykłą propozycję z ambasady francuskiej: stypendium w Paryżu. Stolica Francji nie była zniszczona przez wojnę, kwitło tu prawdziwe życie muzyczne. Skrowaczewski miał 23 lata i chciał się uczyć. Jak wielu muzyków, trafił do studia sławnej Nadii Boulanger.

Zbudowaliśmy we Wrocławiu Narodowe Forum Muzyki. I oto minęło dokładnie 70 lat od pierwszych wrocławskich koncertów Nestora światowej dyrygentury. Stanisław Skrowaczewski przyjechał tu, aby poznać naszą nową siedzibę. Odsłoniliśmy pamiątkową tablicę z Jego nazwiskiem we wrocławskiej Alei Gwiazd. Był bardzo wzruszony. Bardzo ciekawe było dla mnie zawsze obserwowanie, jak Mistrz pracuje z naszą orkiestrą. Kiedy przed kilkunastu laty powstał projekt nagrania na płyty wszystkich utworów Witolda Lutosławskiego przez naszą orkiestrę z udziałem artystów różnych pokoleń – bardzo chciałem, aby jedną z płyt nagrał Skrowaczewski. Poprosiliśmy i wziął udział w tym projekcie, co więcej – telefonował wielokrotnie, aby szczegółowo ustalić, jaki charakter ma mieć nagranie *I Symfonii* Lutosławskiego pod Jego kierunkiem. Prosił, aby to nagranie zostało zrealizowane niezupełnie zgodnie z partyturą. Jego opinia była zresztą sugestią nie tylko dyrygenta, ale sugestią kompozytora, jakim jest Skrowaczewski, który zresztą od lat znał się i przyjaźnił z Lutosławskim. Opowiadał mi, że rozmawiał z Witoldem na temat zmian, jakie chciałby wprowadzić do partytury, oczywiście za jego zgodą, i uzasadniał szczegółowo – dlaczego. Lutosławski wyraził zgodę i podczas prób z orkiestrą Skrowaczewski powtarzał dialog, jaki prowadzili wcześniej obaj z Witoldem. Słuchałem z wielkim zainteresowaniem powtórki tej rozmowy z niewidzialnym

Dyrektor generalny NFM Andrzej Kosendiak zapowiada program koncertu *Biały kruk* i występującego ponownie na wrocławskiej scenie muzycznej – wyjątkowego gościa – Stanisława Skrowaczewskiego

Agnieszka Malatyńska-Stankiewicz, autorka książki *Byłem w niebie* o Stanisławie Skrowaczewskim, zanotowała w rozmowie Dyrygentem:

– Jak Pan i Pana rodzina przetrwała wojnę we Lwowie?

– Ojciec pracował jako lekarz. Mieliśmy szczęście. Ominęła nas wywózka rosyjska. Byliśmy na liście. Mieli nas wywieźć – jak się później okazało – w parę dni po wkroczeniu Niemców w 1941 roku. Później byłem jako tako bezpieczny w Instytucie Weigla, gdzie moja praca polegała na karmieniu wszy, na szczęście karmiłem wszy niezarażone. Praca w instytucie dawała dobre papiery. Sam koniec wojny był bardzo ciężki. Ukrywałem się w klasztorze u Bernardynów we Lwowie. Zakonnicy dobrze mnie znali, gdyż przed wojną grałem u nich na organach. Potem ukrywałem się we własnym domu, w spiżarce, do której wchodziło się po drabinie. Wyjechaliśmy ze Lwowa 11 grudnia 1945 roku – został podstawiony pociąg dla emigrantów do Polski. Tego roku zima była potworna. Wiatr, śnieg i dwudziestostopniowy mróz. Wpakowali nas do bydlęcych wagonów. Jechaliśmy do Krakowa przez sześć dni. Mieliśmy tylko trochę jedzenia. Miałem przyjaciela w Krakowie. Przestraszył się, kiedy mnie zobaczył, myślał, że jestem bandytą. Dopiero po kilku minutach rozpoznał mnie. Zostałem u niego.

Stanisław Skrowaczewski dyryguje *VII Symfonią* A. Brucknera

kompozytorem – a świadkami była cała orkiestra. Dla wszystkich było to niezwykle fascynujące przeżycie. Skrowaczewski powtarzał: *Uważam, że ten fragment należy grać trochę szybciej, a w tym miejscu też mam wrażenie Witku, tu trzeba wprowadzić zmianę...,* a my czuliśmy, że Lutosławski jest obecny z nami przy tym nagraniu. Przy okazji słyszałem pytania o nową salę dla naszej filharmonii. On świetnie rozumiał, czym jest dla orkiestry „dobra sala koncertowa", w której muzyka brzmi jak trzeba. Odpowiadałem, że będziemy mieć nowy gmach i umówiliśmy się na czerwiec 2015 roku. Niestety, mieliśmy opóźnienie na budowie. Nie przyjechał. Jednak odezwał się, że planuje w 2016 roku pobyt w Europie i wtedy dostosowaliśmy nasze plany do jego życzeń, ustalając, że koncert będzie 1 kwietnia.

Po koncercie poszliśmy na kolację i rozmawialiśmy do późna. Zapytałem: *Kiedy następny koncert da Pan znowu we Wrocławiu?* Zaczął się śmiać, ale ja zaproponowałem konkretną datę: czerwiec 2017 roku. Po powrocie do Stanów napisał do mnie piękny list i potwierdził swój ponowny przyjazd do Wrocławia: 9 czerwca 2017, piątek, godz. 19., a w programie: A. Bruckner *IX Symfonia d-moll*.

Zapewne będzie także występował w innych polskich miastach, gdzie czekają na niego melomani, zwłaszcza na Górnym Śląsku, bowiem Akademia Muzyczna w Katowicach nadała Stanisławowi Skrowaczewskiemu kilka lat temu tytuł Doktora *honoris causa*.

O związkach ze Lwowem

Rozmawialiśmy o Lwowie i ktoś zapytał, czy Maestro chciałby pojechać z katowicką orkiestrą do Lwowa – wtedy usłyszałem odpowiedź: *Nie, ja jadę do Wrocławia!* Wiedział, że tam na niego czekaliśmy. Nasza Wrocławska Filharmonia nie miała kontaktów ze Lwowem i nawet nie wiem, czy Stanisław Skrowaczewski był po wojnie we Lwowie.

Urodziłem się we Wrocławiu, ale moi rodzice mieszkali we Lwowie, także podczas wojny. Moja matka, Maria Nowak, pochodziła z Krzemieńca, ale kiedy została Marią Kosendiak, mąż, pracownik poczty, został służbowo przeniesiony do Lwowa. Mama podczas wojny znalazła we Lwowie pracę w Instytucie profesora Rudolfa Weigla, który był twórcą szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu.

Jeszcze o Lwowie

Rozstanie z rodzinnym miastem najczęściej bywa bolesne. Lwów dla wrocławian zawsze będzie miał szczególny urok, polski lokalny patriotyzm różnie się objawia. Moja matka nie chciała już odwiedzać Lwowa, ale kiedy ja pojechałem tam pierwszy raz i opowiedziałem, jak wygląda uliczka, gdzie rodzice kiedyś mieszkali, mama dopytywała się o szczegóły z wielkim zainteresowaniem. Rodzice mieszkali na przedmieściu, w dzielnicy willowej mieli piętrowy domek z ogródkiem. Kiedy opowiedziałem, że obok ich dawnego domu jest pusta parcela, wtedy usłyszałem z ust mamy pytanie: *Jeśli pusta i nikt tam nie buduje, to może byś ją kupił?...* Kończę opowieść anegdotą, aby udowodnić, że my, wrocławianie zawsze będziemy kochać Lwów, z którym łączą nas liczne więzy.

Fragment laudacji autorstwa prof. Eugeniusza Knapika

...Stanisław Skrowaczewski przez całe swoje długie życie komponuje dyrygując i dyryguje komponując, uznając zarazem obie dyscypliny jako dwie skrajnie przeciwstawne sfery – dwa osobne światy. Lista jego kompozycji, około siedemdziesięciu pozycji, jest imponująca. Owa symbioza dwóch równoległych światów scala się w jedno, tworząc niepowtarzalny życiorys wybitnego Artysty – polskiego dyrygenta i kompozytora, który stał się obywatelem świata.

W październiku 2014 roku Stanisław Skrowaczewski został odznaczony przez prezydenta Bronisława Komorowskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Grono przyjaciół z różnych miast uczestniczyło w tej uroczystości.

Dyrektor Generalny NFM Andrzej Kosendiak i przewodniczący Rady Miejskiej Wrocławia Jacek Ossowski w towarzystwie Stanisława Skrowaczewskiego odsłaniają tablicę pamiątkową, poświęconą przybyłemu do Wrocławia Mistrzowi

Narodowe Forum Muzyki, fot. K. Mazur

Z miłości do muzyki

1 kwietnia 2016 roku 93-letni Maestro Skrowaczewski odsłonił przed Narodowym Forum Muzyki pamiątkową tablicę upamiętniającą koncert, który poprowadził tego samego dnia.

Spośród wielu kompozytorów Skrowaczewski szczególnie upodobał sobie muzykę Antona Brucknera i tę miłość dało się odczuć podczas koncertu, kiedy zabrzmiała *VII Symfonia*, należąca do najpopularniejszych dzieł Brucknera. Utwór skomponowany został w latach 1881–1883 i był dedykowany Ludwikowi II Bawarskiemu. Przydomek Liryczna dobrze oddaje cechę dzieła, którego duże partie taki mają charakter. To, co Maestro Skrowaczewski pokazał podczas pamiętnego koncertu, było prawdziwą ucztą. Myślę, że siła tego wiekowego dyrygenta bierze się z miłości do muzyki i pasji jej uprawiania – to się czuło. Muzyka miała w sobie świeżość i dramaturgię, on zaś wspaniale przeprowadził orkiestrę i słuchaczy przez gąszcz brucknerowskich motywów, nie korzystając wcale z partytury, bo doskonale ją pamiętał. Pokazał, że czteroczęściowe dzieło ma klarowną konstrukcję i nic nie dzieje się w nim przypadkowo.

Pięknie zabrzmiała szczególnie druga część *VII Symfonii*, w której Bruckner oddał hołd swojemu mistrzowi – Wagnerowi, przywołując klimat jego dzieł. Ale właściwie całość utworu, wspaniale poprowadzona i zagrana, wzbudziła wielkie emocje u słuchaczy, którzy oklaskiwali Mistrza na stojąco. Może trzeba było właśnie przejść tak długą drogę, aby wydobyć z tej muzyki całe jej piękno…

Skrowaczewski za pulpitem dyrygenckim odmłodniał i pełen wigoru poprowadził bez przerwy blisko półtoragodzinny koncert. I była to także Jego *VII Symfonia*.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Fot. K. Mazur

Rudolf Stefan Weigl (1883–1957) pochodził z rodziny niemiecko-austriackiej. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W tym czasie na świecie szerzyła się epidemia tyfusu plamistego. Pochłonęła wiele ofiar. Uczeni próbowali znaleźć skuteczną szczepionkę. Udało się to Profesorowi Rudolfowi Weiglowi, który od 1920 roku był kierownikiem Katedry Biologii na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jana Kazimierza. We Lwowie podczas wojny ratował ludzi zagrożonych wywiezieniem w głąb Rosji, wykazując ich przydatność w pracy w Instytucie. Pamiętając o jego pochodzeniu, okupanci nakłaniali go do podpisania reichlisty. Profesor odmówił, ale podjął się kierowania Instytutem na potrzeby armii niemieckiej. Miał prawo zatrudniać własny personel. Uratował – jak się dziś ocenia – ponad 5 tysięcy osób ze środowiska naukowego i artystycznego Lwowa. Jego szczepionka trafiała do ludności cywilnej, do partyzantów, a także do warszawskiego i lwowskiego getta. Skromny pomnik we Wrocławiu w 2005 roku ufundowali uczniowie i dawni pracownicy Profesora jako wyraz pamięci i hołdu.

Władysław Floryan (1907–1991)

Wybitny uczony, wspaniały dydaktyk, olśniewający orator, prawy i szlachetny człowiek – profesor Władysław Floryan w reportażu Wandy Dybalskiej oraz we wspomnieniach uczniów: profesora Bogusława Bednarka i dziennikarki Marii Woś.

Jest rok 1927. Magiczny Lwów. Miasto z książnicą Ossolineum, pomnikami Mickiewicza i Fredry, teatrami Horzycy i Schillera, ze Szczepciem i Tońciem, ze słynną kawiarnią *Szkocka*, w której przesiadywali legendarni matematycy Hugo Steinhaus i Stefan Banach.

Młody Floryan wysiada na lwowskim dworcu: świeżo upieczony maturzysta, chudy, duże, przenikliwe oczy (takie są na każdej fotografii), w ręku walizka. Pewnie czuje się zagubiony w wielkiej metropolii. Jego świat zamykał się dotąd między Sieniawą koło Jarosławia (tam urodził się w wielodzietnej rodzinie murarza, wcześnie stracił matkę i ojca, wychowała go więc najstarsza siostra) a Przemyślem, gdzie chodził do gimnazjum.

Ma 20 lat i w głowie zamęt. Długo wahał się, jakie wybrać studia: czy biologię, która tak pociągała go w szkole (zbierał rośliny i motyle), czy polonistykę? Zorientował się jednak, że o wiele bogatszy od świata zwierząt i roślin jest świat ludzi. Polonistyka lwowska była w tym czasie środowiskiem niesłychanie bogatym. Tu przecież działali wielki Wilhelm Bruchnalski, Kazimierz Kolbuszewski, tu święcili tryumfy jako znakomici wykładowcy profesorowie Juliusz Kleiner i Roman Ingarden, tu zaczynał karierę myśliciela i intelektualisty Leon Chwistek. Od 1930 roku Władysław Floryan już jako student był związany z kierowanym przez Eugeniusza Kucharskiego Zakładem Polskiej Literatury Porównawczej, prowadził ćwiczenia z bibliografii i poznawał rękopiśmienne zasoby Ossolineum. Lubił porównywać tematy, motywy, wątki, style w różnych literaturach. Zaraz po studiach, w 1932 roku dostaje stypendium Funduszu Kultury Narodowej i jedzie do Włoch. W Rzymie i Florencji bada związki między literaturą polską i romańską. Pisze pracę doktorską *Pieśni Jana Kochanowskiego wobec źródeł antycznych.* Kochanowski do końca życia będzie jego ukochanym poetą.

Drugi raz rusza do Włoch w 1939 roku jako lektor języka polskiego i zbiera materiały do rozprawy habilitacyjnej, której nie udaje mu się obronić przed wojną. Wezwany do ambasady, usłyszał, że napad na Polskę to kwestia dni. Wraca do kraju i pracuje w serwisie prasowym. Wobec braku kontaktów i porwanych połączeń między formacjami wojskowymi trzeba słuchać informacji radiowych innych krajów. Jego zadaniem jest nasłuchiwanie włoskich stacji publicznych i wojskowych. Przydała się znajomość włoskiego.

W czasie wojny widział inny Lwów. Miasto tragiczne. Po radzieckiej napaści na wschodnie tereny Rzeczypospolitej Uniwersytet Jana Kazimierza został zreorganizowany, poddany ukrainizacji, pozbawiony historycznej nazwy. Miasto strachu, aresztowań, wywózek, egzekucji, w których ginęła lwowska inteligencja. Kiedy hitlerowcy zamknęli uniwersytet, Władysław Floryan znalazł pracę w firmie zajmującej się dezynfekcją mieszkań, a potem w Czerwonym Krzyżu, pomagał ludziom uwięzionym w obozach jenieckich. Z narażeniem życia uczestniczył w konspiracyjnym nauczaniu uniwersyteckim, wierny zawodowej etyce i patriotycznym imperatywom.

W roku 1944, na krótko przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Lwowa, schronią się u rodziców Eugenii Floryanowej, która była przed rozwiązaniem i jej rodzice naciskali: *Przyjeżdżajcie do Sanoka, u nas bezpieczniej*. Wyjechali z podręcznym bagażem, przecież zaraz mieli wracać. Już nie było powrotu. Koniec wojny przywitali w Sanoku. Władysław Floryan objął posadę licealnego profesora. Ale choć nowe zajęcie sprawiło mu wiele satysfakcji, tęsknił za

Lwów na starej fotografii

Rodzina Floryanów już we Wrocławiu

Rodzina Floryanów w Iwoniczu, od lewej: Łukasz, Eugenia, Władysław i Marek, lata sześćdziesiąte

Profesor z żoną Eugenią, Karpacz 1966

Osiemdziesiąta rocznica urodzin

akademickim środowiskiem i światem naukowych dokonań. Gdy dowiedział się, że we Wrocławiu powstaje polska uczelnia i tam przeniosło się wielu profesorów z Jana Kazimierza, 12 lipca 1945 roku napisał list do rektora Stanisława Kulczyńskiego.

Kulczyński odpowiedział: *Proszę przyjeżdżać*. Do Wrocławia profesor przyjechał najpierw sam, żeby się rozeznać. Długo chodził po Oporowie. Wypatrzył dom przy alei Piastów: mały, ale solidny. W ogrodzie jabłonie, grusze, wiśnie, stary orzech. Meble i pianino odkupił od poprzednich właścicieli, Niemców. Zaopiekował się nimi, byli już parą staruszków. Ich syn przyjechał po wojnie z Niemiec na Oporów, rozmawiali po francusku.

Władysław Floryan rozpoczął pracę na uniwersytecie 15 kwietnia 1946 jako zastępca profesora w Katedrze Historii Literatury a zarazem kierownik Zakładu Literatury Porównawczej. Ten stan rzeczy miał jednak charakter przejściowy, gdyż ówczesne ministerstwo oświaty nie wydało aktu konstytuującego wspomnianą katedrę, jak i nie zatwierdziło Katedry Literatury Porównawczej. Dlatego Władysław Floryan spełniał obowiązki kontraktowego adiunkta w pozostałych polonistycznych katedrach wrocławskiej wszechnicy. Zdobył sławę złotoustego wykładowcy, wypromował 10 doktorów i wykształcił kilka generacji magistrów, prowadząc seminaria literatury staropolskiej oraz seminaria tekstologiczno-edytorskie.

W latach 1961–1964 pełnił obowiązki dziekana Wydziału Filologicznego, a następnie piastował na Uniwersytecie Wrocławskim stanowisko prorektora do spraw nauki (1965–1968). Najznakomitsze prace badawcze Profesora Floryana są nierozerwalnie związane z powojennym wydaniem *Dzieł wszystkich* Juliusza Słowackiego. Przeprowadził tekstologiczną analizę pism poety, borykał się z zawiłościami jego autografów (plątaniną skreśleń, przeróbek, alternatywnych pomysłów twórczych itp.), rozwiązywał tekstologiczne szarady, wprowadzał przekonujące koniektury i emendacje. Odnosząc wiele sukcesów, taktownie i życzliwie komentował potknięcia ludzi, którzy wcześniej wydawali dzieła Słowackiego. Zasłynął jako znawca nowoczesnych technik reprintu, wytrawny edytor, nieoceniony filolog.

Nie trzeba uzasadniać konieczności publikowania reprodukcji cennych zabytków piśmiennictwa. W tym zakresie nasza kultura niemało zawdzięcza Profesorowi, który przysposobił do druku podobizny pierwszych wydań *Fraszek* i *Pieśni* Kochanowskiego, *Kordiana* Słowackiego, *Poezji* Mickiewicza oraz czuwał nad powstawaniem reprintu *Dziadów.* Najwięcej energii włożył w opracowanie fototypicznej edycji *La Tribune des Peuples* Mickiewicza. Ta pomnikowa edycja ukazała się w 1963 roku. Pod jego redakcją Państwowe Wydawnictwo Naukowe przygotowało bardzo potrzebny trzytomowy podręcznik *Dzieje literatur europejskich. Dzieje* powstawały przez dwa dziesięciolecia, bowiem były kłopoty z zestrojeniem wysiłków ludzi reprezentujących wąskie naukowe specjalności i z ukształtowaniem tomu traktującego o literaturach narodów Wschodniej Europy.

Profesor Władysław Floryan należał do elitarnego grona humanistów, panujących nad rozległymi obszarami europejskiej kultury, obdarzonych wolą upowszechniania duchowych wartości. Ten znakomity erudyta i orator był jednocześnie świetnym dydaktykiem, umiejętnie kształtującym umysły, gusty i charaktery swoich

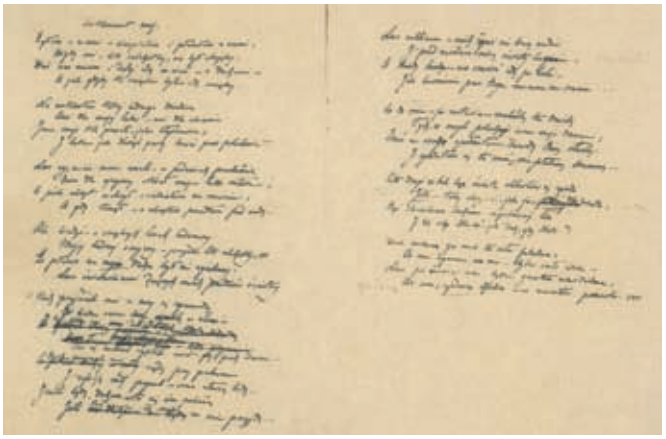

Wielka pasja prof. Władysława Floryana – Juliusz Słowacki i rękopis utworu T*estament mój*

uniwersyteckich wychowanków. Ileż fascynujących treści zawierały choćby prowadzone przezeń zajęcia z analizy tekstów literackich, zajęcia, podczas których opowiadał studentom o bizantyńskich mozaikach, iluminowanych średniowiecznych rękopisach, cymeliach watykańskiej biblioteki, recytował z pamięci i w języku oryginału fragmenty *Iliady* Homera, *Eneidy* Wergiliusza, *Boskiej komedii* Dantego. Wszystko to wzbudzało szczery podziw słuchaczy, rozpalało emocje, wyzwalało poznawcze pasje.

Otóż my, dawni studenci Profesora, może nie potrafilibyśmy na zawołanie, bez zaglądania do biografii i bibliografii, wymienić bezbłędnie tych wszystkich jego osiągnięć naukowych i wydawniczych. Myślę natomiast, że każdy z nas, obudzony w środku nocy i zapytany o Profesora, wspominałby bez zastanowienia jego niezwykłe wykłady z literatury powszechnej, wygłaszane piękną retoryczną frazą. Dla nas, słuchaczy polonistyki z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, z czasów, gdy w kinach szły tylko filmy radzieckie, a w teatrach sztuki socrealistyczne, słowem produkcyjniaki, to samo w tak zwanej literaturze współczesnej, a telewizji w ogóle nie było, w czasach tej wszechobecnej, przygniatającej szarzyzny wykłady Profesora Floryana przenosiły nas w obszary wielkiej światowej literatury. Przywoływały zawarte w niej problemy egzystencjalne człowieka, jego los i kondycję, zło, dobro i piękno – i same były najczystszym pięknem. Najświetniejszymi spektaklami. Najwspanialszym oknem na świat nieprzemijających wartości humanistycznych.

Ze swoistego, nad wyraz barwnego języka Profesora Floryana Jan Miodek wspomina <syropową miksturę> *Kupca* Rejowego, ja zaś nie zapomnę nigdy, jak w *Złotym ośle* Apulejusza z Madaury *bohater wciela się w postać owej najniższej konstrukcji intelektualnej* (no właśnie osła).

Profesor był tak zafascynowany literaturą antyku, że wykładał nam ją od jesieni do późnej wiosny, aż nagle się zorientował, że powinien w tym roku akademickim wyłożyć dzieje literatur europejskich do końca XVII wieku. I wtedy podarował nam kilka popołudniowych spotkań, kiedy to przeleciał z nami od Szekspira do Moliera. Ale potem, w następnym roku, kiedy znowu miał trochę więcej czasu, ponownie zatrzymał się na dobrych parę godzin nad Goldonim i *commedią delle'arte*. Roztaczał przed nami humor, dowcip i koloryt włoskiej ulicy, uroki improwizowanej sceny.

Dopiero później, dowiedziawszy się o włoskich studiach profesora i jego pracy na rzymskim uniwersytecie, zrozumieliśmy, że nie tylko nam przybliżał śródziemnomorskie klimaty, ale sam dla siebie przywoływał w tej stalinowskiej zgrzebności swoją wspaniale rozkwitającą przed wojną europejską naukową młodość.

Ale ani jego wykłady, ani rozprawa habilitacyjna *Forma poetycka Pieśni Kochanowskiego wobec kierunków liryki renesansowej* nie podobały się marksistom. My też wiedzieliśmy, że komparatystyka, uprawiana przez Profesora, wzbudza ich krytykę, ale nie wyobrażaliśmy sobie, żeby te wykłady mogły się komukolwiek nie podobać. Ponury to był okres, kiedy profesorowie bali się studentów, którzy „stawiali ich pod ścianą" i wyrzucali z katedr, a jednocześnie były to czasy bezpośredniego kontaktu mistrza z uczniami, człowieka z człowiekiem.

Profesor Władysław Floryan – niby renesansowy mędrzec – z godnością znosił zarówno krzywdy wyrządzone mu przez barbarzyńskich zwycięzców etapu „błędów i wypaczeń", jak i ciosy kapryśnej Fortuny.

Uprawiał nie tylko ogród nauk. Jako prawdziwy humanista umiał docenić i wykorzystać hojne dary natury: sadził drzewa, tłoczył wino, był dobrym gospodarzem, troskliwie dbał o rodzinę.

Dla nas – spragnionych piękna słuchaczy – był przewodnikiem po Arkadii. Ilekroć słyszę muzykę francuskich trubadurów czy lirykę włoskiego renesansu, imiona bohaterów antycznej tragedii czy włoskiej *commedia dell'arte,* tylekroć jawi się w mojej pamięci ujmująca, drobna sylwetka Profesora, kruczowłosego, śniadego, z ogniem w oczach, biegnących zawsze gdzieś poza granice sali wykładowej, ponad nasze zasłuchane głowy, poza nasze ściskające się od zachwytu serca, w których tyle z niego pozostało.

Na przekór prawu przemijania zachowamy w pamięci moralne i intelektualne dobra, którymi obdarzył nas Profesor Władysław Floryan.

Tekst składa się z fragmentów publikacji

Wanda Dybalska, *Taki zwyczajny*. O profesorach Uniwersytetu Wrocławskiego. *Atut* Wrocław 2005.

Maria Woś, *Felietony radiowe – Floryanowska fraza, Atut* Wrocław.

Bogusław Bednarek: *Władysław Floryan (16 października 1907 – 2 marca 1991),* [w:] „Pamiętnik Literacki" 1992, z. 1. Wrocław-Warszawa-Kraków ZNiO Wydawnictwo Polska Akademia Nauk, s. 260–268.

Kazimierz Urbanik (1930–2005)

Miał zaledwie 34 lata, gdy otrzymał tytuł profesora, miał 35 lat, gdy został najmłodszym członkiem PAN. Był rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego dwie kadencje oraz dyrektorem Instytutu Matematycznego niemal przez trzy dziesięciolecia. Jego bardzo szerokie zainteresowania naukowe skoncentrowały się na teorii prawdopodobieństwa.

– *Panie Profesorze, zacznijmy od roku 1930.*

Kazimierz Urbanik: – Urodziłem się w Krzemieńcu i pierwsze lata przeżyłem w Liceum Krzemienieckim, gdzie mój ojciec był stolarzem. Liceum Krzemienieckie to była wielka, świetnie zorganizowana instytucja, należało do niej tzw. Pedagogium, trzyletnia szkoła pomaturalna kształcąca nauczycieli. Były internaty, stajnie, bo transport był wtedy konny, majątki ziemskie, ogrody. Podczas wakacji odbywały się warsztaty różnych ognisk plastycznych z całej Polski i ja, czując się bardzo ważny, chodziłem za artystami, nosząc sztalugi (robione przez ojca), no i sam też coś rysowałem. Trzy ogrody dzieliły nasz dom od dworku, gdzie urodził się Słowacki i mieszkali państwo Bécu. Jak pamiętam, długo uważałem, że Słowacki był jedynym naszym wieszczem.

Pierwsze lata upłynęły mi beztrosko i aż do 1941 roku niewiele się zmieniło, w każdym razie ja, dziesięcioletni z górą chłopiec, nie odczuwałem zmian. W szkole dalej uczono po polsku, dalej uczono religii i robili to nasi przedwojenni nauczyciele. Potem zaczęli znikać – oni i inni – wywożeni lub aresztowani. W domu mówiło się o tym i to wywoływało strach. Najpierw wywożono osadników wojskowych. Na Wołyniu były całe wsie takich osadników, którzy świetnie gospodarowali i niektóre z tych wsi były bardzo piękne. W następnej kolejności Sowieci wywozili inteligencję z miast. Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku znaleziono listy i podobno myśmy też byli na liście do wywózki. Możliwe, bo mój ojciec wojował w Armii Generała Hallera i podczas pierwszej wojny bronił Lwowa.

– *Czy w domu mówiło się o polityce?*

– W domu był kult Marszałka, ale przypominam sobie, że ojciec czasem bardzo krytycznie wyrażał się o piłsudczykach, którzy, jego zdaniem, spychali hallerczyków na drugi plan. Rozumiałem, że organizacje kombatanckie rywalizują ze sobą o miarę przelanej krwi, ale nie czułem w tym agresji.

– *Wkroczenie Sowietów nie było wstrząsem, dopiero Niemców?*

– Niemcy zamknęli polskie szkoły. Nas wyrzucili z mieszkania. Zniszczyli Liceum Krzemienieckie, zakładając tam najpierw szpital, później Genossungsheim. Spalili ławki szkolne, usunęli książki z biblioteki (nie widziałem, żeby palili książki albo wywozili), co mnie bardzo przygnębiło, bo lubiłem czytać i jeszcze przed pójściem do szkoły byłem częstym gościem biblioteki, znali mnie tam, brałem sobie na przykład Trylogię.

– *W domu były książki?*

– Było trochę, no i były u różnych znajomych, przede wszystkim u nauczycieli. Taki podstawowy kanon – sporo dzieł polskich, trochę jakichś ówczesnych nowości z literatury powszechnej.

Rok 1941 to był krach. Polskiej szkoły nie ma. Do ukraińskiej mnie nie przyjęli, bo nie znałem języka. Jak całe moje pokolenie, uczyłem się na tajnych kompletach, prowadzonych przez nauczycieli z Liceum Krzemienieckiego – trochę matematyki, trochę fizyki, chemia bez laboratorium. Z początku zajęcia odbywały się regularnie i często, z czasem coraz rzadziej, w 1943 roku wygasły zupełnie. Ciągle mogłem czytać – na szczęście.

W maju 1945 wyjechaliśmy do Brzegu nad Odrą i znów zacząłem chodzić do szkoły. Musiałem zdać egzamin, choć gdybym się uparł, przyjęto by mnie do czwartej klasy gimnazjalnej – czegoś się na kompletach nauczyłem. Zostałem w trzeciej. W tym czasie poznałem moją przyszłą żonę; Rodzina Przyborowskich przyjechała też z Kresów, gdzie mieli majątek. Młodszy syn, który był ciężko ranny na wojnie, chciał studiować i musiał zdać przyspieszoną maturę, uczyłem go matematyki.

– *Już wtedy interesował się Pan matematyką?*

Krzemieniec – Jan Krajewski, drzeworyt, 1876

Pięćdziesięciolecie ślubu Stefanii i Kazimierza Urbaników, 2002

– Miałem w gimnazjum bardzo dobrą nauczycielkę, pannę Kubrychtównę, absolwentkę Wydziału Matematycznego we Lwowie i to ona wszczepiła mi zamiłowanie do matematyki. Od niej dowiedziałem się, że do Wrocławia przyjechali słynni profesorowie z Uniwersytetu Jana Kazimierza, że tam jest kontynuacja Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Bardzo mnie to interesowało, już wtedy czytałem różne artykuły w „Problemach" i nawet książki o matematyce. Przyszedłem na studia w 1948 roku. Bardzo prędko, na drugim roku, dostałem pół etatu zastępcy asystenta u profesora Edwarda Marczewskiego[1].

– Marczewski został przywieziony przez Niemców na roboty do Wrocławia. Przeżył oblężenie miasta i zaraz po zakończeniu wojny stanął do jego odbudowy oraz tworzenia polskiego Uniwersytetu i Wydziału Matematyki. Był rektorem w latach 1953-1957. Trzeba te fakty przypomnieć, gdyż taki pierwszy mistrz to, jak sądzę, ważne w biografii.

– Było tak. Najpierw radość z tego, że dostałem się na studia, że będę miał kontakt z wybitnymi uczonymi, największymi matematykami. To uczucie dominowało z pewnością. Pamiętam pierwszy wykład profesora Marczewskiego i to, że on był elegancko ubrany, elegancko się poruszał, a sam wykład był świetnie skonstruowany (potem, gdy blisko współpracowaliśmy, przekonałem się, że Marczewski niezwykle starannie przygotowywał wykłady). Wszystko razem stanowiło jakby występ teatralny.

– Proszę powiedzieć, czy w świadomości matematyków, w ich zbiorowej pamięci, pozostało coś, co łączy kolejne pokolenia tych wielkich mistrzów, u których pan terminował?

– Myślę, że tak. Zasady wypracowane i wypraktykowane przez Polską Szkołę Matematyczną, właśnie to środowisko moich mistrzów oraz ich kolegów, po wojnie rozproszonych po świecie, okazały się trwałe. Przede wszystkim owa zasada wczesnego startu, którą dzisiaj o wiele łatwiej urzeczywistniać, bo mamy kontakty z każdym ośrodkiem na kuli ziemskiej, a każdą książkę można szybko sprowadzić, nie mówiąc już o wymianie myśli przez internet.

Z prof. Kazimierzem Urbanikiem[2]
rozmawiała Magdalena Bajer[3]

Na Wielkim Chińskim Murze

Od lewej – prof. K. Urbanik, E. Marczewski, C. Ryll-Nardzewski, S. Hartman

1 https://pl.wikipedia.org/wiki/Edward_Marczewski
2 https://pl.wikipedia.org/wiki/Kazimierz_Urbanik
3 Magdalena Bajer: *Blizny po ukąszeniu*, Biblioteka „Więzi" 2005. Warszawa.

Prof. Kazimierz Urbanik

Ojciec – jak go pamiętam

Minęło już 11 lat od śmierci mojego ojca – Kazimierza Urbanika (1930–2005), profesora matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego. Uczony pozostaje w swych dziełach, uczniach i współpracownikach oraz w pamięci bliskich – w pamięci codzienności zwykłego życia. Ten ostatni rodzaj pamięci chciałbym tu przywołać.

Zwykle uczony z dziedziny nauk ścisłych nie przynosi swojej pracy do domu. Jak przytargać całe laboratorium? Chyba że mieszka się w nim – a bywały w historii nauki i takie przypadki. Wyjątkiem od tej reguły jest matematyk (w klasycznym rozumieniu tej profesji, a raczej powołania), który wszystkie swoje narzędzia badawcze może nosić z sobą: kartkę papieru, coś do pisania i umysł. Ojciec potrafił pracować wszędzie – przy biurku, w fotelu przed telewizorem czy leżąc na kanapie. Zawsze w jego pobliżu znajdował się plik kartek i ołówek. Od lat był wierny temu samemu egzemplarzowi klasycznego metalowego żółtego ołówka automatycznego *Koh-I-Noor Versatile* na grube wkłady. Gdy ich w sprzedaży zabrakło – czy to były peerelowskie „chwilowe braki", czy już ofensywa ołówków z cienkimi wkładami, trudno powiedzieć – to siostra kupowała zwykłe drewniane ołówki i wyciągała z nich grafitowe wnętrze. Matematyk by powiedział, że sprowadzała problem do już rozwiązanego. W dobie trudności z papierem (kto jeszcze pamięta czasy, gdy nie do dostania był przyzwoity papier maszynowy?) pisał na drugiej stronie zadrukowanych jednostronnie preprintów, przysyłanych mu z całego świata. Dziś nazwalibyśmy to podejściem ekologicznym. Jako dziecko byłem zafascynowany tajemniczymi matematycznymi symbolami, które tam umieszczał. Jak pamiętam, pisał ręcznie cały tekst pracy, który później przepisywał na maszynie. Wiele lat do tego celu używał znalezionej w gruzach Wrocławia poniemieckiej walizkowej maszyny *Continental Wanderer 50*. Gdy wspominam lata dzieciństwa, to słyszę jej metaliczny stukot dochodzący z gabinetu ojca – dźwięk, który dziś trudno spotkać, bo zastąpił go klekot komputerowej klawiatury. Choć ostatnie lata życia ojca przypadły już na czasy komputerów, to – mimo jego otwartości na nowinki techniczne – nie dał się porwać rewolucji w sposobie zapisu myśli. O ile pamiętam, nie dotknął klawiatury komputera. Pozostał przy ołówku.

Ojciec nie poszedł z duchem czasu, jeśli chodzi o pisanie, więc nie może zaskakiwać, że podobnie było z czytaniem. Otaczał się książkami i w wolnych chwilach, których nie miał wiele, pochłaniał je w niezwykłym tempie. Jak pamiętam, w domu zawsze był problem ze składowaniem książek, których liczba niepohamowanie rosła. Trzeba sobie uświadomić, że obok „zwykłych" książek ojciec zgromadził olbrzymią bibliotekę naukową. Właściwie w każdym pokoju znajdowały się półki z książkami, a tam gdzie było ich najwięcej, unosił się biblioteczny zapach. Ten zapach pojawia się w mojej pamięci, gdy wspominam swoje dzieciństwo. Wzrastałem w otoczeniu książek. Nie zawsze musiały służyć do czytania – zwłaszcza gdy się jeszcze nie umiało czytać. Z tomów encyklopedii Meyers Lexicon można było zrobić tyle rzeczy!

Innym zapachem, który pamiętam, jest niestety zapach dymu papierosowego. Ojciec palił bardzo dużo. Pamiętam taki obraz: wchodzę do jego gabinetu i widzę, jak jego głowa skrywa się w rozpościerających się poziomo, w nieruchomym powietrzu, warstwach dymu niczym podnosząca się z pola poranna mgła. Nadszedł jednak dzień, gdy

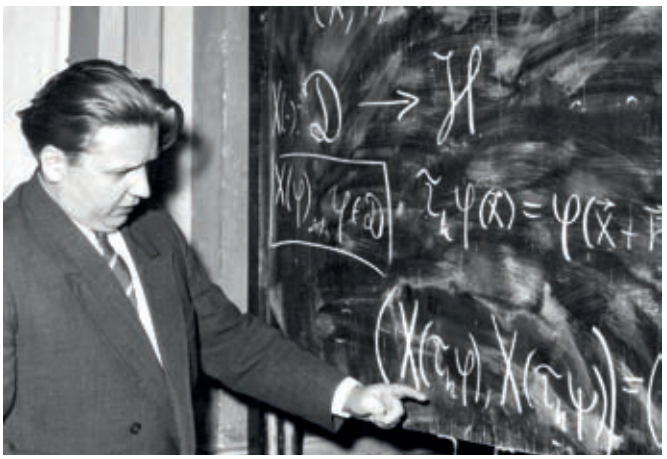

Prof. K. Urbanik podczas wykładu

Aula Leopoldina – rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, lata 80. XX w.

Profesorowie: Andrzej Lelek, Bronisław Knaster, Kazimierz Urbanik, Leon Witold Nitka

organizm się zbuntował i ojciec był zmuszony przestać palić. Od tego momentu stał się największym wrogiem papierosowego dymu.

Praca w dziedzinie matematyki, najbardziej teoretycznej z nauk, i zainteresowania humanistyczne nie oznaczały, że ojciec „miał dwie lewe ręce" i był niezdolny do prac fizycznych. Jako syn cieśli (jakżeż to brzmi!) nie bał się wziąć do ręki młotka, piły, struga czy pędzla. W zasadzie potrafił wykonać wszystkie techniczne prace domowe – od napraw elektrycznych po prace stolarskie. Samodzielnie wykonał regały na wspomniany rozrastający się liczebnie księgozbiór.

Gdy myślę o domu rodzinnym, to nie mogę nie wspominać o czymś nieco większym, takiej „małej ojczyźnie", a jest nią osiedle Biskupin wraz z Sępolnem i może nawet całą Wielką Wyspą. Wydaje mi się, że ta ostatnia nazwa rozpowszechniła się dopiero po powodzi w 1997 roku. Spokojna, pełna zieleni, o niskiej zabudowie, choć niedaleko leżąca od centrum miasta – wszak należąca do dzielnicy o nazwie Śródmieście – miała swój własny, nieco peryferyjny, charakter. Szczególnie osiedla Biskupin i Sępolno. Od pozostałej części Wielkiej Wyspy i centrum miasta oddziela je zielony pas Parku Szczytnickiego oraz tereny Ogrodu Zoologicznego. Pamiętam, jak mówiło się: „Jadę do miasta", co znaczyło: „Wybieram się za Most Zwierzyniecki". „Miasto" było gdzieś tam za Placem Grunwaldzkim. Tutaj zaś było coś podobnego do małego miasteczka. Jego mieszkańców znało się z widzenia, bo każdego można było spotkać w jednym z niewielu sklepów, zgromadzonych w „centrach handlowych" dwu wspomnianych osiedli. W jednym ze starych przewodników po Wrocławiu – chyba z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku – kiedyś przeczytałem, że Biskupin to osiedle zamieszkałe głównie przez pracowników wrocławskich wyższych uczelni. To była prawda – wielu uniwersyteckich znajomych i przyjaciół ojca mieszkało w granicach tego osiedla. Wrocław uważał za swoje miasto i nigdy nie chciał się przeprowadzić – może właśnie dlatego, że tu byli ludzie, z którymi był związany. Urodził się w Krzemieńcu – mieście Słowackiego i Aten Wołyńskich. Zawsze bardzo ciepło wspominał to miejsce, gdzie spędził swoją młodość. Pamięć o tym ciekawym i pięknym mieście była u niego tak żywa, że jego opowieści posłużyły mi za przewodnik, gdy miałem okazję odwiedzić je już po jego śmierci. Było to dla mnie wielkie przeżycie, które można porównać do oglądania filmu, którego scenariuszem były opowieści ojca. Niestety, nakręconego na zniszczonej taśmie z wyblakłymi kolorami.

Kiedyś zapytałem go, czy chciałby tam pojechać. Ku mojemu zdziwieniu odpowiedział, że nie, że nie jest to już jego miasto, bo nie ma tam ludzi, których znał, szanował i kochał, ani nawet ich dzieci lub wnuków. Tacy ludzie są we Wrocławiu.

Witold Urbanik

Sobótka, jubileusz 65-lecia prof. C. Ryll-Nardzewskiego

W Stralsundzie z prof. E. Marczewskim, 1961

W Stralsundzie z prof. B. Gleichgewichtem

List od Karla Dedeciusa

Ten list otrzymałam dwadzieścia siedem lat temu i jest ozdobą mojej kolekcji pamiątek, chociaż nie zawierał dobrych wieści. Pracowałam wtedy w telewizji, bywałam często w Niemczech, także z kamerą filmową i poprosiłam Karla Dedeciusa o możliwość spotkania i rozmowy. Odpowiedział:

DEUTSCHES
POLEN
INSTITUT

Sz. Pani
Barbara Folta
Red. Oświatowa
Ośrodek TV we Wrocławiu
ul. Armii Radzieckiej 8/10
53-015 Wrocław
P o l e n

Darmstadt, 27.02.1989

Szanowna Pani,

dziękuję za list i za zaszczytne zaproszenie na rozmowę. Muszę niestety być konsekwentny i przeprosić Panią, że żadnych podobnych planów nie posiadam. Odmawiałem już kolegom Pani kilkakrotnie, także w Łodzi, gdzie planowano cały film o instytucie. Nie czuję się po prostu na wysokości zadania. Jestem starszym panem, który lubi spokój i pracę przy biurku. Nie posiadam żadnych walorów aktorskich i nie produkuję się chętnie przed kamerą.
Bardzo proszę o zrozumienie mojego stanowiska. Jeszcze raz przepraszam.

Łączę wyrazy poważania

Karl Dedecius

Alexanderweg 28, 6100 Darmstadt, Tel. 061 51/45 07 37/38
Deutsche Bank Darmstadt Konto-Nr. 1070631,
Stadt- und Kreissparkasse Darmstadt Konto-Nr. 350701

Gdybym wysłała mój list kilkanaście miesięcy później, może miałabym szansę otrzymać inną odpowiedź. W 2002 roku spotkałam we Wrocławiu Karla Dedeciusa i rozmawiałam z nim, gratulując mu nagrody miesięcznika *Odra.* Wtedy też odbierał tytuł Doktora *Honoris Causa* Uniwersytetu Wrocławskiego w pięknej Auli Leopoldina.

Adam Krzemiński z *Polityki* napisał: *Bywały takie czasy w Europie, gdy poetów odbierano jako nieformalnych ambasadorów z innej planety, a tłumacze poezji uważali się za przewoźników, którzy myśli i uczucia przekazywali na drugi brzeg granicznej rzeki. Tak swoją rolę widział Dedecius.*

Karl Dedecius urodził się w Łodzi w 1921 roku, pochodził z niemieckiej rodziny mieszkającej od pokoleń w Polsce. Podczas wojny służył w Wehrmachcie i pod Stalingradem trafił do

Uroczystość wręczenia Doktoratu *Honoris Causa*, Karl Dedecius i prof. Czesław Hernas w Auli Leopoldina

radzieckiej niewoli. Zamiast nienawiści wybrał pojednanie. Po siedmiu latach wyszedł z łagru, gdzie nauczył się cyrylicy i poznał rosyjską poezję. Założył Niemiecki Instytut ds. Polski w Darmstadt. W 1959 roku ukazał się w jego tłumaczeniu pierwszy tomik polskiej liryki *Lekcja ciszy,* potem *Myśli nieuczesane* Leca. Przekładał poezję Różewicza, Herberta, Miłosza, Szymborskiej. Do końca życia pracował, nieustannie tłumacząc i organizując, motywując następców do wydłużania mostów między kulturami polską i niemiecką. Na jego urodziny Rolf-Dietrich Keil przełożył na język niemiecki *Inwokację Pana Tadeusza*.

Litauen! Vaterland! Du gleichst Wohlbefinden,
Wie gross Dein wahrer Wert ist, kann nur der ergrunden,
Der Dich verlor. Ich kann all Deine Pracht und Schone
Heut sehn und schildern erst, wo ich mich nach Dir sehne.

Ten wstęp do poematu Mickiewicza – *Inwokację* zamieściła niemiecka gazeta, przeczytał go młody niemiecki lingwista – tłumacz, Hans Gregor Njemz – zachwycił się tym wierszem. Hans Gregor bywał w Polsce jako turysta, potem studiował filozofię na uniwersytecie w Poznaniu i pracował jako lektor na jednej ze śląskich uczelni.

Zaproszony do Wrocławia na wykład w Studium Generale Universitatis Wratislaviensis im. Profesora Jana Mozrzymasa, opowiedział o swojej pięknej idei, jak czytelnikowi niemieckiemu ułatwić poznanie treści *Pana Tadeusza* – arcydzieła, którego rękopis znajduje się w zbiorach nowo powstałego Muzeum Pana Tadeusza na Rynku we Wrocławiu.

Z okazji roku Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016 przedstawiamy historię Hansa Gregora Njemza w języku angielskim.

H.G. Njemz studiował na UAM, fot. A. Walczy

The manuscript of Pan Tadeusz has been inscribed on the Polish National List under the UNESCO World Heritage Programme.

180 years ago Mickiewicz finished writing the last book of the epic poem *Pan Tadeusz*

Pan Tadeusz, or *Sir Thaddeus*, is a Polish national monument and the greatest treasure kept in the Ossolineum Library in Wrocław. In 1999, when Bogdan Zdrojewski was the mayor of Wrocław, the city purchased the manuscript from the Tarnowski family and presented it to the Ossoliński foundation.

Surprisingly, there is no brilliant translation of the epic poem into German. This fact struck Hans Gregor Njemz, a young German scholar, after reading Rolf-Dietrich Keil's, a famous German slavist, article on the difficulties in translating *Pan Tadeusz.* The article was written to celebrate Karl Dedicius' birthday and was concluded with the *Invocation*, i.e. opening verses, translated by Keil.

Hans Gregor Njemz has been studying Polish since his first memorable visit to Poland. After final exams in high school, his friend (a German of Polish origin) invited Hans to visit his grandparents in the Masuria. He got fascinated by Poland, and although he decided to study French at university, he also enrolled in various courses of Polish. When he read Keil's *Invocation* to *Pan Tadeusz* in German, he found this translation excellent. He thought the entire poem should be translated in the same style, i.e. maintaining hexameter verses employed by Mickiewicz. Although Keil, already known for his translation of *Eugene Onegin*, limited himself to translating the initial part of Mickiewicz's poem, he blazed the trail young philologists could follow.

Now, Hans Gregor Njemz is an experienced translator and a friend of my daughter, Iwona Uberman, who is a journalist and translator. They met at the Polish-German workshop for translators and Iwona learned that Hans had been working on a new translation of *Pan Tadeusz* for a few years. When the text of his talk reached the University of Wrocław, it triggered much interest. Consequently, he was invited to deliver a lecture at the University, exactly 180 years after Mickiewicz had finished *Pan Tadeusz*.

His talk on "Another translation of *Pan Tadeusz*" was held at the Jan Mozrzymas Studium Generale Universitas Wratislaviensis presided by Pro-Rector Prof. Adam Jezierski and Prof. Ewa Dobierzewska-Mozrzymas. The lecture was followed by a debate on Hans Gregor's translation and generally on translator's work and mission. The participants listened attentively to Hans Gregor, who in the meantime had acquired an excellent command of Polish, tell about his work on Mickiewicz's epic poem.

"I do not need to justify why I include *Pan Tadeusz* among the masterpieces of world literature. Surprisingly, despite the high literary position of Mickiewicz, his poetry does not generate interest among German-speaking readers, apart from some restricted circles of enthusiasts of Poland and researchers in Slavic studies. Even now, many of my fellow-countrymen do not know who he was. Initially, translating the epic poem was a whimsical pastime, but when a few years ago I broke my leg and had to stay in bed day and night, suddenly I felt it could be a sort of challenge. After some time I knew it was exactly what I wanted to do. As I was quite pleased with the outcome of my efforts, I thought it was worth accomplishing. The more I worked on it, the more I was convinced that I was right – especially when I came across numerous errors and imprecisions in the previous translations. Over time, I felt as if *Pan Tadeusz* was the only masterpiece in the world. I perceived more and more charm, mastery and humour in it. I was sometimes under illusion that it was me who actually created it while translating. I was on the verge of delusions, but thanks to this I managed to overcome difficulties in translating. Working on the German translation was extremely time-consuming. It sometimes happened that I needed a few hours to find the right rhyme. I worked so long on translation, being in a constant touch with Mickiewicz's protagonists, that I made friends with them as if they were real people; I can see them in front of me, I can hear their voices.

Pan Tadeusz enables us to have an insight into the lost world, erased due to the disasters of the 20th century and long forgotten. Lukkily, Mickiewicz described it in poetry, thus preserving it for posterity."

Before ending up in the collection of the Library of the Ossoliński National Institute, the manuscript of *Pan Tadeusz* had an eventful history. When Adam Mickiewicz was writing the closing stanzas of his epic poem, his friend Ignacy Domeyko decided to make a clean copy of the original and in this way protect the manuscript from damage. He took the original with him to South America as the most valuable treasure. Only after Domeyko's death, Władysław Mickiewicz, Adam's son, acquired the manuscript and presented it to the Museum of Mickiewicz in Paris. The manuscript survived the vicissitudes of wars being transferred here and there before his deposition in Wrocław.

The small-sized but valuable copybook lies in a small nicely-decorated box and evokes strong emotions. Dr. Paweł Pluta from Ossolineum invited us to his office where the manuscript is kept in a safe. With bated breath, we watched him taking the copybook out of the box. Visibly moved by the experience, Hans Gregor looked at the manuscript long and attentively.

Barbara Folta
tłum. A. Piasecka-Ceccato

Ein Europäer aus Łódź – zum Tod von Karl Dedecius (1921–2016)

Dedecius wurde 1921 in Łódź geboren, damals ein Vielvölkergemisch, in dem Polen, Deutsche, Russen und Juden mit – und nebeneinander lebten. Die Vorfahren der Mutter kamen aus Schwaben, die des Vaters aus Böhmen. Mehrsprachigkeit war für Dedecius Alltag. Zu Hause sprach seine Mutter mit ihm deutsch, sein Vater meist polnisch, sein Umfeld und die Schulkameraden sprachen polnisch, als Kind erfuhr er Zärtlichkeiten von seiner Großmutter auf Tschechisch. Seine Eltern schickten ihn auf das polnische, mehrsprachige, humanistische Gymnasium. 1934 wechselte er dann auf das neu gegründete Żeromski-Gymnasium, seine Klasse bestand aus Polen, Deutschen, Juden und Franzosen, auch ein Russe war darunter.

Den Kriegsbeginn erlebte Dedecius in einem Arbeitsdienstlager im Nordosten Polens. Er floh nach Lwów, das bereits von den Russen besetzt war, erkrankte schwer und schlug sich schließlich nach Łódź durch. Anfang 1941 wurde er als Volksdeutscher in die deutsche Armee eingezogen. Als einer der wenigen überlebte er nicht nur das Massensterben der Schlacht von Stalingrad, sondern auch die darauf folgende Gefangenschaft. Es war eine russische Ärztin aus Kiew, die ihm das Mittel zum Überleben besorgte: russische Literatur. Er fing an, sich selbst Russisch beizubringen, machte eine Lager-Karriere als Übersetzer.

Ende Dezember 1949 wurde Dedecius in Frankfurt am Oder aus der Gefangenschaft entlassen, nach zehn für ihn vergeudeten Lebensjahren war er nun ohne Studium, ohne Familie und ohne Zuhause. Im Dezember 1952 folgte er einer Einladung eines ehemaligen Mitgefangenen in die Pfalz zu kommen und siedelte in den Westen Deutschlands über. Am liebsten wäre ihm eine Arbeit als Übersetzer oder Lektor für slawische Literatur gewesen, doch der Verleger Peter Suhrkamp beschied ihn: „Nach diesem Krieg wird sich in Deutschland niemand mehr für slawische Literatur interessieren". 1953 heuerte Dedecius deshalb bei einer großen Versicherungsanstalt an, bei der er 25 Jahre lang blieb und sogar Karriere machte. Abends und an den Wochenenden jedoch übersetzte er, schrieb Radio – und Zeitschriftenbeiträge, gab Bücher heraus und hielt Vorträge. Im eigenen Auftrag übersetzte er vor allem polnische Lyrik für Zeitschriften und Zeitungen. 1959 veröffentlichte er den Zyklus „Leuchtende Gräber" mit Versen gefallener polnischer Dichter – Krzysztof Kamil Baczyński, Andrzej Trzebiński, Wacław Bojarski, Zdzisław Stroiński, Władysław Sebyła, Tadeusz Gajcy. Die Resonanz in Polen war überwältigend. Mit der im gleichen Jahr erschienenen Anthologie polnischer Lyrik *Lektion der Stille* löste er wiederum in der Bundesrepublik eine Welle von Sympathie und Solidarität aus. Fortan brachte Dedecius praktisch im Alleingang in seinen Übersetzungen eine Vielzahl polnischer Dichter dem deutschen Lesepublikum nahe, darunter damals unbekannte, heute weltberühmte Autoren wie Julian Przyboś, Stanisław Jerzy Lec, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Zbigniew Herbert und Tadeusz Różewicz. Mit vielen von ihnen war er befreundet.

1978 verließ Dedecius die Versicherung und widmete sich dem Aufbau des von ihm gegründeten „Deutsches Polen-Institut" in Darmstadt, dessen Aufgabe die Erforschung, Darstellung und Vermittlung polnischer Kultur, Geschichte und Politik ist. 1980 wurde er dessen erster Direktor und blieb es fast zwanzig Jahre lang. Während dieser Zeit erfüllte er sich einen Traum: die Herausgabe der „Polnische Bibliothek". Achtzehn Jahre nahm dieses Großprojekt Anspruch, dann war es im Jahre 2000 mit dem fünfzigsten Band abgeschlossen.

Dedecius erhielt im Laufe seines Lebens eine Vielzahl von Auszeichnungen und Ehrungen. Ein Gymnasium in Łódź wurde nach ihm benannt, er erhielt den Friedenspreis des deutschen Buchhandels und am 3. Mai 2003, dem polnischen Nationalfeiertag, die höchste polnische Auszeichnung, den „Orden des Weißen Adlers". Genauso wichtig dürfte ihm jedoch eine andere „Ehrung" gewesen sein. In den 60ger Jahren hatte er anlässlich eines internationalen Übersetzerkongresses in Warschau Gedichte des in Katyń ermordeten Władysław Sebyła vorgetragen. Danach kam eine verweinte Frau auf die Bühne, umarmte ihn und sagte: „Zum ersten Mal nach 1945 werden die Gedichte meines Mannes in Polen gelesen. Und von wem? Von einem Deutschen, auf Deutsch".

Mit Karl Dedecius verstarb am 26. Februar 2016 ein engagierter Streiter für eine deutsch-polnische Aussöhnung und ein unermüdlicher Brückenbauer zwischen beiden Kulturen. Eine Epoche ging zu Ende.

K. Dedecius, M. Orski i P. Borkowski, redakcja „Odry", 2002

Fot. R. Kozakiewicz

Jubileusz 70-lecia Radia Wrocław

Rozgłośnia Polskiego Radia Wrocław ruszyła w eter we wrześniu 1946 roku na częstotliwości 950 kHz z przerobionego na fale średnie półkilowatowego nadajnika z demobilu i z zastanej w stacji nadawczej drewnianej wieży antenowej. Zespół redakcyjny tworzyli przede wszystkim pracownicy przedwojennego radia we Lwowie: Juliusz Petry – dyrektor, Tadeusz Banaś – zastępca ds. audycji literackich, Małgorzata Sterbówna – audycje dla dzieci i młodzieży, oraz pianista Piotr Łoboz.

Tadeusz Banaś (1909–1993)

Urodził się w niewielkim, położonym nad Seretem, miasteczku Budzanów nieopodal Trembowli. Lata pierwszej wojny światowej spędził wraz z rodziną w Wiedniu i Ołomuńcu. Gimnazjum ukończył we Lwowie i tam też rozpoczął studia polonistyczne, m.in. pod kierunkiem profesorów Juliusza Kleinera i Eugeniusza Kucharskiego, którego przez pewien czas był asystentem. Wraz z Karolem Kurylukiem, Tadeuszem Hollendrem i innymi założył czasopismo „Sygnały" (1933–1939).

W latach trzydziestych współpracował z lwowską rozgłośnią Polskiego Radia, a w czasie okupacji znalazł schronienie jako buchalter w Instytucie Weigla. Bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych pracował jako nauczyciel w Leżajsku, a następnie przybył do Wrocławia, gdzie uczestniczył w organizacji miejscowej rozgłośni. Z Polskim Radiem związał się też na stałe, pełniąc od 1946 roku funkcję naczelnika Wydziału Programowego, w latach 1955–1977 zaś zastępcy redaktora naczelnego od spraw artystycznych.

Był nade wszystko radiowcem, autorem niezliczonych recenzji teatralnych, felietonów i słuchowisk, które niekiedy sam reżyserował. Teatr był drugą z jego życiowych pasji. Był twórcą radiowego *Teatru Jednego Aktora*, jak również przybliżającego wrocławskiej publiczności szereg pozycji awangardowej dramaturgii tamtych lat *Teatru przy Stoliku*, który miał na swym koncie około 120 premier!

Był człowiekiem pogodnym i ludziom, a zwłaszcza adeptom dziennikarstwa, nader życzliwym. Zjednywał sobie przyjaciół poczuciem humoru, rozległą wiedzą i swadą urodzonego gawędziarza. Imponować mógł też wręcz znakomitą pamięcią, cytując nie tylko co ciekawsze fragmenty, lecz też pełne teksty arcydzieł naszej romantycznej czy modernistycznej literatury[1].

Paweł Banaś

Tadeusz Banaś wspominał[2]: *Wrocław dźwigał się z ruin i niełatwo było w budzącym się do życia mieście znaleźć wykonawców, ale do redakcji napływały setki listów. Słuchacze pisali, że najlepiej odbierają wrocławską rozgłośnię w późnych godzinach wieczornych. Stacje centralne kończyły nadawać o północy. Postanowiliśmy wykorzystać ciszę w eterze. Powrót nocą przez ruiny nie należał do atrakcyjnych ani bezpiecznych. Stajemy więc przed mikrofonami sami, gramy, śpiewamy, tańczymy nawet. Akompaniuje niestrudzony Piotr Łoboz, a gra w nieopalanych studiach.*

1 *Naczelnik ze Lwowa*, [w:] *Spotkajmy się we Wrocławiu*, nr 1/2005.
2 http://www.radiowroclaw.pl

Mirosław Ostrowski

Jest dyrektorem technicznym Radia Wrocław, to on – jako pierwszy w Polsce – do radia we Wrocławiu wprowadził cyfryzację. Innowator! Opowiada o sobie:

Jako młody człowiek, tuż po studiach na Akademii Górniczo-Hutniczej, pełen werwy rozpocząłem poszukiwanie pracy. Marzyła mi się transmisja danych, kodowanie sygnałów, szyfrowanie. Kiedy przekraczałem progi wrocławskiej rozgłośni, jeszcze nie sądziłem, że radio stanie się pasją mojego życia. Wówczas w rozgłośni wszechobecna była technika analogowa, ze swymi wielkimi magnetofonami stacjonarnymi, wielkie miksery dźwięku, ustawione w reżyserniach zespołów emisyjnych, robiły wrażenie, ale dźwięk wydobywający się z profesjonalnych głośników brzmiał niezwykle czysto i głęboko. Nigdzie wcześniej nie słyszałem takiego pięknego i czystego brzmienia. Jednak w owym czasie nikomu nawet nie marzyły się komputery w emisji czy produkcji dźwięku. Nie zdawałem sobie sprawy z ogromu pracy, którą będzie musiał wykonać cały zespół techniczny rozgłośni, aby skomputeryzować wszystkie etapy tworzenia programu radiowego, zaprzęgając do pracy najnowocześniejszą technikę cyfrową. Uczestniczenie w tym procesie jest nie lada wyzwaniem, ale przynosi ogromną satysfakcję, która pozwala na optymistyczne spoglądanie w przyszłość…

M. Ostrowski, dyrektor techniczny Radia Wrocław

Gesichter einer Stadt – oblicza miasta

Die Auszeichnung von Wrocław/Breslau als Kulturhauptstadt Europas 2016 fand auch in der deutschen Hauptstadt Berlin ihr Echo. So fuhr von April bis September jedes Wochenende ein besonderer Kulturzug zwischen beiden Städten. Eine virtuelle Verbindung vom Berliner Bahnhof Friedrichstraße zum Hauptbahnhof in Wrocław gab es vom Mai bis Juli mit der multimedialen und interaktiven Installation „Luneta“. In diese Reihe von Aktivitäten fügt sich auch die Ausstellung „Gesichter einer Stadt – oblicza miasta“ ein, die am 27. August von dem ehemaligen Bundestagspräsidenten und gebürtigen Breslauer Wolfgang Thierse am Potsdamer Platz, einem zentralen und geschichtsträchtigen Ort in Berlin, eröffnet wurde.

Die Ausstellung ist ein Projekt von JOE-Plattform Berlin und Convivium Berlin in Zusammenarbeit mit dem Muzeum Miejskie Wrocław und der Stiftung Zukunft Berlin. Konzipiert und realisiert wurde sie durch Mitarbeiter der Internetzeitung MOE-Kultur-Newsletter. In den Bildern und Texten werden Männer und Frauen vorgestellt, die diese Stadt mit polnischen, böhmischen, deutschen und jüdischen Wurzeln während ihrer tausendjährigen Geschichte wesentlich geprägt und ihr Bild nach außen maßgeblich bestimmt haben. Führt man sich diese Personen vor Augen, wird besonders deutlich, mit wie viel Recht sich Wrocław/Breslau Kulturhauptstadt Europas nennen darf.

Bis zum Zweiten Weltkrieg waren Berlin und Breslau zwei eng miteinander verbundene Städte. Abraham Geiger war Mitbegründer der Hochschule für die Wissenschaft des Judentums in Berlin, wo er bis zu seinem Tode lehrte. Carl Ferdinand Langhans schuf als Architekt sowohl in Breslau wie auch in Berlin beeindrukkende Bauwerke, was sich gleichermaßen von Hans Poelzig sagen lässt, der hundert

Hejnał z wieży kościoła św. Elżbiety, fot. S. Arczyński

Jahre später wirkte. Die in Breslau gebürtige und ausgebildete Chemikerin Clara Immerwahr, die sich aus Protest gegen die Leitung der Giftgaseinsätze ihres Mannes Fritz Haber in Berlin das Leben nahm, bleibt als das Gewissen der Naturwissenschaften in Erinnerung.

Ein Schwerpunkt der Ausstellung liegt in der Zeit nach dem Zeiten Weltkrieg, seit dem die aus der Zerstörung wieder auferstandene Stadt Wrocław genannt wird. Da sind zuerst die Wissenschaftler und Wissenschaftlerinnen, die zumeist aus dem Osten Polens kommend die Universität und das Polytechnikum Wrocław aufbauten und ihnen weltweite Geltung verschafften: der Mathematiker Hugo Steinhaus, die Kinderärztin Hanna Hirszfeld und ihr Mann der Immunologe Ludwig Hirszfeld, sowie die Chemikerin Bogusława Jeżowska-Trzebiatowska. Gewürdigt werden die legendären Theaterkünstler Jerzy Grotowski und Henryk Tomaszewski sowie die Literaten Tadeusz Różewicz und Rafał Wojaczek. Hinzu kommen die Dirigentin und Operndirektorin Ewa Michnik sowie Eugeniusz Get-Stankiewicz, der in Wrocław vor allem als Plakatkünstler Kultstatus genießt. Happeningkünstler Waldemar Frydrych, Mitbegründer der Solidarność-nahen Bewegung „Orangene Alternative“ steht für den friedlichen Widerstand während der Zeit des Kriegsrechts. Die Symbolfiguren der „Orangenen Alternative“, zipfelmützige Zwerge, sind heute in der ganzen Stadt unübersehbar. In einer Foto-Collage „Heute Teraz Now“ führen die norwegische Sängerin und Schauspielerin Bente Kahan, der Maler Michał Węgrzyn, die Sopranistin Aleksandra Kubas-Krug, der Schauspieler Mariusz Kiljan, der Neurochirurg Wojciech Fortuna und die Sängerin und Schriftstellerin Nadia Szagdaj an besondere Orte ihrer Stadt.

Auch der Altmeister der polnischen Fotografie, der in Essen geborene Stefan Arczyński hat den ihm gebührenden Platz in der Ausstellung gefunden. Es ist gleichzeitig eine Gratulation zu seinem einhundertsten Geburtstag, den er gerade feiern konnte.

Michael Kleineidam

SPOTKAJMY SIĘ we Wrocławiu
Let's meet in Wrocław
Treffen wir uns in Wrocław

ISSN 1644-1524
33
9 771644 152004

Czasopismo SPOTKAJMY SIĘ WE WROCŁAWIU ukazuje się od 2001 roku
http://www.bibliotekacyfrowa.pl/publication/64218
REDAKCJA: Barbara Folta, ul. Borowska 40/11, 50–532 Wrocław, tel. 71 367 18 77, barbarafolta@wp.pl
WSPÓŁPRACA: Dominika Floryan, Michael Kleineidam, Barbara Lekarczyk-Cisek, Jadwiga Urbanik
TŁUMACZENIA: Maciej Łagiewski, Agnieszka Piasecka-Ceccato
KOREKTA: Kazimiera Kuzborska
ZDJĘCIA: Stefan Arczyński, Bogusław Beszlej, Krzysztof Mazur, Sławomir Przerwa, Łukasz Rajchert, Danuta Szatkowska, Agnieszka Walczy, Archiwum UWr oraz zbiory prywatne
SKŁAD I ŁAMANIE: Jacek Kotowicz
DRUK I OPRAWA: Agencja Wydawnicza ARGI, www.argi.pl
Czasopismo dofinansone ze środków budżetu Uniwersytetu Wrocławskiego